

Z jednej strony stoimy w Hajczu, udając, że chcemy iść do Korei, a z drugiej obsadziliśmy wąwozy Jancełińskie i uczyniliśmy je niezdobytemi; tam pułapka na nich — śmiał się radośnie, zacierając ręce.

— Daj Boże, daj Boże — westchnął Sudkiewicz — byle dobre zwycięstwo, bo coraz trudniej rządzić w kraju.

— Wszystko przycichnie, gdy wrócą nasze zwycięskie wojska, — upewniał śmiało Bolcew — teraz te pismaki gazetarskie w Petersburgu i Moskwie pozwalają sobie dużo, krytykują, skarżą, ośmieszają rząd i dziwno, że raz cenzura nie położy temu końca. Przynajmniej u nas, w Prywiślańskim kraju cicho.

— Bo nasz stary mądry — chwalił Sudkiewicz — zakazał przedruków z pism rosyjskich, bo słusznie powiedział: Polacy, to pochopny naród do nadziei i czytając ostre wycieczki ruskich pism, spodziewaliby się jakichś zmian. Tem przykrzejszy spotkałby ich zawód; bo system nie zmieni się w tym kraju, póki ja żyję.

— Dłużej klasztoru, niż przeora — zaśmiała się Olga — a generał gubernator stary.

— Reformy będą na pewno — upewniał Bolcew — byle z wojną skończyć.

— To i niedługo czekać — zawołał Lednoj — jeszcze tydzień i dwa, a śladu nie będzie po Japończykach. Wiecie państwo, jeden z moich towarzyszy przywiózł mi piosenczkę, którą dziś cała Rosya śpiewa, cudowna!

— Jaka? Jaka? — zawołała pani — umie ją pan?

— Nauczył mnie kolega i jest taka prawdziwie duchem i natchnieniem nasza, że aż rozkosz bierze. Czuć w niej tę spokojną siłę olbrzyma, który ostrzega zanim uderzy i zabije.

— Tak zaśpiewaj rotmistrzu — zachęcał Bolcew przyjaciela — rozraduj duszę ruską, stęsknioną za ojczyzną.

— I ja proszę — szepnęła pani, patrząc mu w oczy z miłością.

— Kolacya podana — meldował Jan.

— To już po kolacyi musicie nam zaśpiewać — rzekł Sudkiewicz, wstając z fotela.

Po wystawnej kolacyi, gdy przeszli do salonu, nie dał długo się prosić rotmistrz Lednoj, i usiadłszy do fortepianu zaśpiewał ładnym barytonem:

„Ej, mikado, budiet chudo,
Pierebiom twoju posudu...
Razniesiom do tła!

Tiebie s nami dratsia trudno,
Czto ni dień, to gibniet sudno;
Sławnyje dieła?!

Ty rozstańsia-ka s mieczkami
Szutit' s naszymi portami,
Budiesz sam bez nich.

Leziesz s duru k'Port-Arturu,
Potrepały twoju szkuru
My w jedynyj mig!

Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!*)

Czułe spojrzenia, serdeczne podziękowania były nagrodą śpiewaka, tylko jedna Olga na bezpośrednie pytanie Sudkiewicza odpowiedziała z chłodną grzecznością:

— Pan Lednoj ma głos przyjemny.

Nie zauważył tego Bolcew rozentuzymowany pieśnią i rzekł do pań:

— Ta pieśń, to śliczny podarunek dla pań, ona będzie was pocieszać, gdy podli Anglicy szczerzą będa swe żółte zębiska, czytając kłamliwe doniesienia o naszych wojskach.

— Pan ma słusność — odpowiedziała Sudkiewiczowa i zwracając się do śpiewaka:

— Panie rotmistrzu, jeszcze raz ostatnią zwrotkę dla mnie:

Posłuszny zaśpiewał:

„Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!“

I pani Sudkiewicz wyjeżdżając nazajutrz kuryerem, gdy z okna wagonu żegnała męża, zanuciła półgłosem:

*) Ej, mikado, będzie źle, rozbijemy twoją własność, roznieśiem do ena. Tobie bić się z nami trudno, niema dnia, by okręt nie zginął, oto twe sławne czyny! Ty porzuć precz marzenia, żartowania z naszymi portami, wkrótce sam zostaniesz bez nich. Leziesz z głupoty do Portu Artura, przetrzepaliśmy w mig twoją skórę. Bądź rozsądniejszy: wyleź z pokornie z Korei i strzeż swojej floty.

„Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!“

XVII.

Olga wróciła z podróży w drugiej połowie września, a umówiwszy się listownie ze Żaleckim, iż spotka się z nim u Helenki, spieszyła do niej, ciesząc się, że nareszcie ujrzy swoich przyjaciół po tak długiej rozłące.

Zastała Helenę samą, przybladłą, z oczyma podkrążonemi, która witała ją z radością skrepowaną.

— Co ci, Helenko? Chorowałaś?

— Nie, przeciwnie, zdrowa jestem i bardzo się ucieszyłam, gdy Żalecki powiedział mi, że wracasz nareszcie.

Olga przyglądała się siedzącej uważnie, widziała zmianę w niej, ale nie umiała jej określić.

— Cóż u was słyhać? nowego? dobrego?

— Wszystko dobrze — uśmiechała się — drukarni nie odkryto. „Wolność“ po twoim wyjeździe niema



...gdy przeszli do salonu, nie dał długo się prosić rotmistrz Lednoj, i usiadłszy do fortepianu zaśpiewał ładnym barytonem...

tak imponujących wiadomości urzędowych, ale nadzwyczaj czytana i rozchwytywana. Dzięki tajnej prenumeracie, rosła szybko nasze fundusze.

— Któż zbiera?

— Do zeszłego tygodnia ja chodziłam, ale teraz mi trudniej — zarumieniła się — i przeznaczono innego towarzysza.

— Coś ukrywasz Helenko... powiedz mi.

— Ach, jakaś ty niedomyślna — uśmiechnęła się z przymusem i poprawiając światło lampy, szepnęła — jestem w innym stanie...

— Ty!? Ty!? — zawołała z wielkiem zdumieniem — ale kiedy? ale jak?

— W najzwyczajniejszy sposób — mówiła spokojnie — kocham Stacha, on mnie, i żyjemy razem. Cóż ciebie to tak dziwi? — patrzyła na Olgę, która nie odwracała oczu od niej,

— A cóż rodzice? babka?

— Ach moja droga, my rozpoczynamy nową epokę ludzkości i nie lgniemy do przeżytych form. — No... tak... zapewne... ale pomyślałaś o przyszłości dziecka?

— Niech walczy, jak my walczymy.

Patrzyła bardziej zdziwiona, aniżeli zgorzciona i mimo woli szepnęła:

— A co dalej?

— Dalej?... Póki nam będzie dobrze razem... a zresztą któż zna swoją przyszłość?

— W tem cała nasza wyższość — powiedziała Olga — że my sami stwarzamy tę przyszłość, a nie przypadek.

— Czyż tak? — zaśmiała się drwiąco — i wychodzisz z tej kamienicy: wazon, cegła, kawałek gzymsu pada i zabija cię... wiedziałas o tem?

— Bo to niezależne od mojej woli, ale tam gdzie mi wybór przysługuje, zawsze wybiorę drogę lepszą.

— Zobaczymy... — i patrząc gniewnie — jeśli cię rażą moje zasady, powiedz otwarcie, możemy spotykać się tylko przy wspólnej pracy.

— Helenko, jakaż ty biedna, jaka rozdrażniona — wstała z krzesła i powodowana szczerem współczuciem, ucałowała ją i uściśkała serdecznie.

Helena zapomniała o swym gniewie i tuląc się do Olgi, płakała, łkając cicho i wśród łez szeptała:

— On mnie kocha, ale czuję się taka biedna... taka nieszczęśliwa... w biurze lada chwila wymówią mi miejsce... a tu

w kamienicy, ile ja znoszę, jak cierpię... jak mnie wyzywają, jak drwią i szarpia...

— No, uspokój się Helenko... jakoś poradzimy... wyprowadź się...

— Tak, dobrze ci mówię, ale w ślad za mną pójdzie meldunek... i rzadca i stróż będą wiedzieli.

— Więc z nim zamieszkać, weź ślub...

— Nie mogę bez pozwolenia rodziców, nie zechcą ksiądz... A z nim? Czy ty nie rozumiesz, że wszyscy będą mnie poczytywali za jego utrzymanie, za kobietę upadłą. Jedna chwila zapomnienia, chwila szala... i oto skutki.

— Nie rozpaczaj... coś namadzi... zawsze możesz brzyć na nas.

— Na was?! — uśmiechnęła się bolesnie — ależ czuję, że jemu staję się ciężarem, że go krępuję, że przeszkadzam.

— Urojenie Helenko... on ma przecież takie same obowiązki względem dziecka, jak i ty.

I on spełni obowiązki, ale ja cierpię, ale mnie upokarzają, i nie można zaradzić, nie zrobić, chyba gdzieś wyjechać i w kącie przeżyć dnie wstydu.

W przekonaniu Olgi, człowiekiem opatrnościowym w różnych przygodach życia był Bolek, on jeden umiał zawsze znaleźć sposób wyjścia, spytała też:

— Czy Bolek wie o tem?

— Prawdopodobnie, ale tak zajęty partią, że niczem po za nią się nie interesuje. Masz najlepszy dowód, że spóźnił się dzisiaj, chociaż wie że czekasz.

— Ja mu tego niemam za złe, przeciwnie, wysoko to cenię w nim. Oboje służyliśmy jednej idei, i ona powinna być wyższą po nad osobiste uczucia.

Helena zakręciły się łzy w oczach i szepnęła ze smutkiem:

— Ja nie mogę już tego powiedzieć o sobie, stałam się egoistką.

— Minie i to skoro wyzdrowiejesz. Może to nawet nie egoizm, ale poczucie odpowiedzialności za nowe życie.

— Ty filozofujesz — powiedziała drwiąco, — a ja tylko cierpię.

Wtem otwarły się nagle drzwi i wpadł Bolek wołając:

— Jak się macie? — ścisnął rękę Heleny i patrząc badawczo, niespokojnie, wziął rękę Olgi, — nareszcie i wy wróciliście, czy zawsze ta sama?

— Czy widzicie jaką zmianę? — uśmiechnęła się, ściskając jego rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).